Rok 1936. 19 kwietnia Nr. 16.

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

MARJA KONOPNICKA.

NA LECHICKIEM POLU.

Przez lechickie puste pole
Cichy pielgrzym idzie w gości,
A gdzie przejdzie — ziarno pada
Słonecznej jasności.

Idzie miedzą, idzie drogą,
Przez ugory, przez dąbrowy,
A gdzie przejdzie — tam wyrasta
Posiew Chrystusowy.

Nie wyrasta jako cedry,
Lecz jak polne świeże kwiaty,
Bliskie ziemi - rodzicielki,
Bliskie biednej chaty.

I nie szumi jako burza
W swej potęgi majestacie,
Ale ziemi mówi: „Matko“,
A bliźniemu: „Bracie“.

I wyrosły owe słowa,
Niby kłosy żyzne, chlebne,
Takie proste, polne takie,
A takie podniebne.

I już ziemia się rozmaja
W pustce swojej i posusze...
Już się w piersiach przebudziły
Senne ludzkie dusze...

Już serc wiosna się zakwieca,
Tam, gdzie pierwej była zima,
Już bieleje chata kmieca
Za cieniem pielgrzyma.

. . . .

Przez lechickie puste pole
Cichy pielgrzym idzie w gości...
A gdzie przejdzie — ziarna rzuca
Słonecznej jasności.

— Kto ty jesteś, o pątniku,
Co posiewasz ziemię w zorze?
— Jam apostoł Wojciech święty,
A tu niosę Słowo Boże.

— Jakże przejdziesz, o pątniku,
Między obce ci pogany?
— Poprowadzi mnie ten Chrystus,
Co był za nas na śmierć dany.

— Jakąż bronią, o pątniku,
Walczyć będziesz w swojej drodze?
— Ja miłością będę walczył,
Światło siejąc, gdzie przechodzę.

— Jakich-że to ech, pątniku,
Tak za tobą słychać granie?
— To jest pieśń „Bogurodzica“,
Co tu z ludem się ostanie.

Rośliny „zmartwychwstające“.

W Ameryce północnej żyje pewien gatunek paproci, która gdy ma poddostatkiem wody, rozprzestrzenia swoje listki we wspaniały pióropusz o ślicznej aksamitnej zieleni. Natomiast w czasie suszy zwija się w niekształtny kłębek żółtawy, wyglądem swoim wcale nie przypominający rośliny. Skoro jednak włożymy korzonek tego kłębka w wodę, rozwinie się pięknie w przeciągu kilku godzin. Można to powtarzać niezliczone razy i zawsze roślina po pozornej śmierci, zbudzi się ponownie do życia.

Podobną do niej jest inna roślina, której ojczyzną są piaszczyste okolice Arabji, Egiptu i Syrji. Nazywa się róża jerychońska. Jej gałązki też w czasie posuchy kurczą się, splatają i tworzą zaokrąglony kłębek — niepodobny wcale do kwiatu. Przed deszczem gałązki róży nabrzmiewają, wydłużają się i prostują, aby niezadługo, gdy susza nadejdzie, znowu ściągnąć się i niby zamrzeć. Zerwana i napozór nieżywa roślina ta ożyje z powrotem, skoro tylko wstawimy ją w wodę.

Uchodziła dawniej róża jerychońska za roślinę tajemniczą, cudowną i z tego powodu oplotły się dokoła niej różne legendy. Tymczasem te jej ruchy ściągania i prostowania gałązek mają na celu ochronę nasienia. Gdyby bowiem dojrzałe nasionka wypadły na ziemię suchą, musiałyby zginąć, gdyż wypaliłoby je słońce, które w owych krajach sieje żarem. Nie pozwalają na to łodyżki, które w czas suszy kurczą się zaraz i zamykają woreczek z nasieniem. Dopiero gdy nadejdzie znowu pora deszczowa, gałązki rozprostowują się i pozwalają nasionkom zasiać się na wilgotnej ziemi, gdzie też kiełkują bardzo szybko, dając początek nowym pokoleniom. Już w przeciągu jednego dnia korzonek przebija osłonkę nasienia i roślinka zaczyna się rozwijać.

CZY OWADY MÓWIĄ?

(Ciąg dalszy).

Ale zdarza się, że podobną mową zagada nieraz i inny owad, a wtedy wynika dla pszczół niepowetowana szkoda.

Otóż raz zauważył przyrodnik w pasiece wielkie spustoszenie. Po długich badaniach udało mu się wreszcie wykryć szkodnika, którym okazała się ćma, zwana trupią główką. Wydaje ona też gwizdy, ale przez pocieranie swoją krótką, twardą ssawką po nieowłosionych częściach tułowia. Dźwięk ten jest tak podobny do dźwięku przetchlinkowego wydawanego przez pszczołę-królowę, że robotnice, oczarowane i obezwładnione tym głosem, nie sprzeciwiają się rabusiowi, który też sobie używa bezkarnie na ich miodzie.

Zato trzmiele bez wahania zabijają żądłami tego nieproszonego gościa, nie są bowiem tak czułe na dźwięki, jak pszczoły.

Czwarty rodzaj mowy owadów, to porozumiewanie się przez pocieranie narządów, a dźwięki, jakie z tego powstają, nazywamy ćwierkaniem. W piękne dni letnie, wśród koncertów owadzich, te dźwięki ćwierkające są najgłośniejsze, z czego można sądzić, iż najwięcej między owadami jest właśnie takich, które wydają dźwięki przez pocieranie. Służą im do tego osobliwe narządy o drobniutkich rowkach, po których przesuwają one jednym z twardych członków tam i z powrotem i w ten sposób wywołują dźwięk.

Najpierwszym grajkiem wśród tego rodzaju owadów jest pasikonik zielony. Słychać go wyraźnie, lecz trudno dojrzeć, gdyż umie doskonale kryć się między zielenią liści, do czego dopomaga mu zielona barwa tułowia. Dopiero po długiem, ostrożnem rozglądaniu się

można spostrzec głośno ćwierkającego samczyka, jak siedzi nieruchomy, poruszając tylko skrzydłami.

Szarańcza robi to przez tarcie ud tylnych nóg o pokrywy skrzydłowe. Pocierając nogą bardzo szybko o skrzydła, wprawia je w drganie, wskutek czego następuje dźwięk, podobnie jak to się dzieje ze struną, po której pociągamy smyczkiem.

Wczesną wiosną na polach i łąkach odbywają swoje koncerty świerszcze. Siada sobie wtedy samczyk z rozpostartemi nogami i pociera nieustannie pokrywami skrzydeł jedną o drugą. Mają one poprzeczne bruzdy czyli rowki, i stosownie do tego czy owad pociera skrzydełka w górę czy w dół, zmienia się dźwięk na wyższy lub niższy.

Pewien przyrodnik zamknął raz do szafy parę samców świerszczy. Znosiły one swoją niedolę cierpliwie, ciągle wesoło muzykując zamiast rozpaczać. Uderzenie w szafę przerywało muzykę, lecz wnet zaczynały ją na nowo, skoro badacz zaczął naśladować ćwierkanie, co umiał robić doskonale.

Raz znowu wyniesiono samczyka w klatce do ogrodu, w pobliżu wypuszczono na wolność złapaną samiczkę. Wnet świerszczyk rozpoczął swój koncert, na co samiczka poskoczyła w jego stronę. Widocznie zatem, że owady porozumiały się z sobą zapomocą dźwięków.

Japończycy już dziesięć wieków temu trzymali w klatkach śpiewające owady, a jeszcze i w dzisiejszych czasach wiele osób po miastach japońskich ciągnie duże zyski z handlu owadami, gdyż naród ten w „śpiewie“ owadzim znajduje taką przyjemność, jak my n. p. w śpiewie kanarka.

W pewnych okolicach Niemiec dzieci poszukują zielonych pasikoników, wsadzają je do umyślnych klatek, słuchając ich śpiewu i nawet tańczą w takt tej muzyki.

Również i u mrówek zauważono pewien rodzaj dźwięku, który — jak przypuszczają uczeni — musi być także wyrazem jakichś wzruszeń. I tak n. p. dwie mrówki indyjskie, gdy im zburzono mrowisko, wydawały z siebie dziwny syk, podobny do syczenia gorącego popiołu zalewanego wodą. Głos ten powstawał u nich wskutek szybkiego poruszania tylną częścią tułowia. Podobne, lecz słabsze głosy po zburzeniu mrowiska wydawały mrówki innego gatunku, a sprawiały to przez pocieranie wzajemne ciał o ciała.

Znowu inne mrówki, żyjące w Europie, w razie jakiego wypadku uderzają odwłokami o ziemię, co wydaje szmer nie trudny do usłyszenia. U pewnego rodzaju mrówek amerykańskich zauważono narządy głosowe do pocierania.

Mimowoli nasuwa się wobec tego pytanie, czy mrówki słyszą się wzajemnie, czy też tylko wyczuwają głos zapomocą włosków na odnóżach. (C. d. n.)

Antoś Palica.

Obrazek z życia. Napisał Bronisław Mazowiecki.

(Ciąg dalszy).

Gumienny porządnie natargał uszu pastuchom za owe psoty, ale nikt nie sprzątnął jeszcze owej kupy siana, w którą małe koniuchy przystroiły martwe drzewo.

Jakim sposobem stara ta osika stała w tej chwili w ogniu, nie wiedział jeszcze Antoś Palica. Kiedy jednak, dopadłszy tego miejsca, zobaczył języki ogniste, buchające ogromnym otworem z palącego się wnętrza pnia, struchlał na myśl, co za pożogę może skutkiem wichury wywołać to płonące drewno.

Co tu zrobić samemu bez niczyjej pomocy? Ale coś zrobić trzeba i to natychmiast, nie zastanawiając się długo, bo czas nagli. Jeszcze chwila, a może być zapóźno. Wiatr szaleje, iskry wypadają z każdym kłębem dymu, jeden podmuch silniejszy, a dosięgną sterty.

Młodziutki myśliwy, chcąc się pozbyć zawadzającej mu strzelby, zawiesił ją

na jednem z drzew po przeciwnej stronie, gdzie wiatr nie nosił iskier, poczem przypadł do płonącej osiki. Obejrzał dokładnie, by sprawdzić, dokąd wżarł się już ogień. Pień tylko u samej nasady był jeszcze płomieniem nietknięty, ale już na jakie dwie stopy od ziemi ogień dookoła tak pożarł zewnętrzną część drzewa, że wyglądała jak siatka, osłaniająca ogromną latarnię, w której środku płonęło jasne światło.

Pożar nie dawał przystępu do siebie z żadnej strony. Gorąco okropne odpychało na parę kroków. Zapóźno już było, by można ogień czemś zarzucić i zgnieść. Antoś nie mógł mieć zresztą pod ręką żadnych narzędzi, ani mu nikt nie mógł pomagać w ciężkiej robocie. Za wszelką cenę jednak postanowił ratować.

Rzucił się ku najbliższej sośnie i zaczął się na nią wdrapywać, jak kot. Wtem wiatr zadął mocniej i język ognisty wychylił się ze środka pnia osiki, liznął jej szczyt parę razy i zniknął.

Chłopak uczuł, że znalazł się zablisko płomieni, które omal nie objęły jego ubrania. Zeskoczył więc i wdrapał się na inną sosnę. Od urodzenia wychowany w lesie, taką miał w tem zręczność, że nie minęła minuta, gdy znalazł się już na wierzchołku drzewa.

Teraz jedną ręką zawisnął na najwyższej gałęzi, zakołysał się i puszczając z dłoni ściskany w niej konar, tak odskoczył, że drugą ręką uchwycił się za gałąź sąsiedniej sosny, tejsamej, na którą z początku próbował się dostać.

Wyciągnął nogę, by się o jakiś konar lepiej zaczepić, a gdy już czuł się pewnym, zaczął wykonywać takie ruchy, by jaknajbardziej zbliżyć się z góry do sterczącej jak widły, grubej gałęzi uschłej osiki.

Konar ten znajdował się na szczycie płonącego pnia po przeciwnej stronie, aniżeli największy otwór, przez który za podmuchem wiatru wybuchały na wierzch płomienie.

Jeszcze króciutka chwilka, — i Antoś zawisł oburącz na widłach nagiej gałęzi osikowej.

Dym dławił go coraz bardziej, z gorąca dusił się, lecz uważał jedynie na to, by go znienacka nie liznął język ognisty.

Wisząc tak w powietrzu, zebrał wszystkie siły, by targnąć wraz z sobą całe drzewo, które mając blisko ziemi ognisko w wydrążeniu pnia i wierzchnie warstwy drzewa mocno już przepalone, powinno było zwalić się zaraz pod ciężarem tęgiego chłopca.

Nie udało mu się to zaraz. Musiał powtarzać wysiłki kilka razy, aż ostatecznie rozległ się wielki trzask i stara osika legła w przydrożnym rowie.

Antoś spadając wraz z nią, odskoczył szczęśliwie na rżysko. Był strasznie wyczerpany, ale ciężka robota nie była skończona; przeciwnie, teraz dopiero miał się zacząć ratunek właściwy.

Płomienie buchały i z pnia tkwiącego w ziemi i z powalonej obok kłody. Trzeba się było spieszyć, żeby ognie te zdławić, zanim wiatr nie rozszerzy ich przez ściernisko na pobliskie składy zboża.

Pień udało mu się zaraz przysypać kamieniami z rowu, przynajmniej o tyle, że ogień zdławiony tlił się tam, dymiąc, ale przedstawiał już mniejsze niebezpieczeństwo. Zato sucha kłoda, zwalona poza sosny na kupę kamieni, buchała płomieniami coraz lepiej, grożąc ciągle strasznem nieszczęściem.

Oblany potem z gorąca i ze zmęczenia, Antoś rozejrzał się dokoła, czemby się dało zagasić ogień. Wtem coś zobaczył i bez namysłu pobiegł o kilkadziesiąt kroków dalej, gdzie przed kilkoma dniami, zaraz po sprzątnięciu zboża, przeorano parę zagonów. Dziś miano już pole to nawozić.

Rano przyjechał tu duży wóz napełniony mierzwą, którą należało po roli rozrzucić. Ponieważ jednak ludzie wybierali się na pogrzeb, więc odpiąwszy konie, wrócono z niemi do dworu, zostawiwszy wóz tymczasem na skraju pola, tuż przy drodze. (C. d. n.).